

Przyjaźń szkolna na całe życie

Listopad był złowrogi, listopad mi nie sprzyjał. Świat jest co prawda najłatwiejszy do ogarnięcia jesienią, właśnie wtedy istnieje tylko geometria, a przecież w matematyce wszystko się zgadza, wszystko jest domknięte klamrami z cyfr. Geometria: drzewa wyglądały jak kilka grubych, czarnych odcinków, splecionych ze sobą na tle nieba zakolorowanego ołówkiem i nie można było przypisać im nic trudniejszego niż kilka równie grubych i czarnych punktów, które je obsiadły i trójkątami wydziobywały pożywienie. Tylko geometria, w dodatku geometria na poziomie pierwszych klas szkoły podstawowej. To mi się bardzo podobało, moje myśli miały wiele przestrzeni i nie rozpraszały ich żadne skomplikowane twory, jakie występują w innych, zupełnie niematematycznych porach roku. Dlaczego zatem listopad nazwałem złowrogim? Powód jest całkiem przewidywalny - melancholia.

W listopadzie odeszła Ona. Ona pojawiała się przez cały rok, jednak najbardziej dręczyła mnie listopadem. Ona zupełnie nie zgrywała się z jesienią, więc śmiem podejrzewać, że nie zniosła listopada i dlatego odeszła. To sprawił listopad. Nie mogłem jej nawet odwiedzić, nie wiedziałem dokąd szła, ani dokąd trafiła. Była nie do ogarnięcia i nie raz myślałem, że muszę się Jej pozbyć, żeby wszystko stało się łatwiejsze i lepsze, ale myliłem się, co mi się zresztą często zdarza. Poznałem Ją w szkole, nienawidziłem Jej wtedy. Bardzo mi się podobała, ale nie mogłem znieść tego, jak się zachowywała. Z drugiej zaś strony – była tą, której ze znanych mi osób najbardziej współczułem. Ona nie potrafiła rozmawiać, Ona wymieniała słowa. Ta wymiana bynajmniej nie była nastawiona na zrozumienie, na dojście do jakiegokolwiek kompromisu, nie służyła w zasadzie niczemu, poza uzyskaniem uwagi. Ta wymiana była nastawiona na podziw, a Ona niespecjalnie się z tym kryła. Nie trzeba być świetnym obserwatorem, żeby o tym wiedzieć.

-Czy ty mnie w ogóle słuchasz? - zapytał Ją pewnego razu chłopak, za którym akurat nie przepadałem, ale zaimponował mi wówczas, bo jako jedyny potrafił nie odgrywać tej dziwnej szopki na Jej cześć. Wszyscy inni, zdawało się, całkiem nieźle się w niej czuli. -Jednym uchem, drugim wypuszczam. No bo do czego mogą mi się przydać twoje słowa? Rozmowami na szkolnym korytarzu nie warto zaprzętać sobie głowy. -Jeszcze bardziej zaimponowała mi Ona. Nie żebym się z nią zgadzał, uderzyła mnie jej szczerość i do tej pory mam siniaka gdzieś w sercu. Z czasem udało mi się Ją przekonać do tego, że to wcale nie dobrze, że rozmowy na szkolnym korytarzu przeleciały Jej przez głowę i nie odbiły się echem. Z czasem wspólnie doszliśmy do wniosku, że małe rozmowy to największe rozmowy, na jakie może pozwolić sobie świat i jeśli już czerpać z czegoś, to właśnie z małych rozmów. Z małych rozmów wyciągać wielkie wnioski. Potężne wnioski.

Zresztą od tej rozmowy wszystko zdążyło się zmienić, ale nie sposób o niej zapomnieć, bo wszystko od niej właśnie się zaczęło. Potem byliśmy najbardziej zgraną parą przyjaciół, o jakiej kiedykolwiek słyszałem. Nie spędzaliśmy czasu w wyjątkowo ciekawy sposób i niespecjalnie mogliśmy zainteresować świat, nigdy nie wstrząsnęlibyśmy kulą ziemską. Rozmawialiśmy. Otworzyliśmy dwa gabinety terapeutyczne, jeden w moim, drugi w jej pokoju. Zwierzaliśmy się sobie i zarażaliśmy siebie wzajemnie coraz to ciekawszymi spostrzeżeniami,

a to nieźle mąciło nam w głowach. A potem odeszła i było to cztery lata temu, a ja wciąż nie dowiedziałem się, dlaczego. I chyba wolałem nie wiedzieć, bo jeśli nie domyślałem się nawet, to rodziło się w mojej głowie podejrzenie, że byłyby to cios ogromny - ten powód.

- Nie boisz się? - zapytała pewnego razu przy drzwiach, nim opuściła moje mieszkanie.

- Czego?

- Że Ci odejdę któregoś razu i już nie wrócę. Z moją babcią tak było, kiedy byłam mała. W ogóle się wtedy nie bałam, że odejdzie i odeszła cała nie wiadomo dokąd.

Zaśmiałem się.

- Ja byłbym wreszcie szczęśliwy!

Zrobiła tak poważną minę, jakiej jeszcze u niej nie widziałem.

- Jeżeli nie boisz się o kogoś, to ten ktoś może odejść na zawsze, bo tylko **jeśli istniał strach o jakąś osobę, to ona w jakimś stopniu zostanie, choćby wydawało się, że odeszła.**

Teraz wiem, że musiałem się bać o Nią. Bardzo musiałem się bać, jeśli miała rację.

Przez wszystkie te moje przemyślenia nikt już nie zadawał się ze mną, albo ja nie zadawałem się z nikim, trudno powiedzieć. Najczęściej chodziłem do pracy jakiejś i jakieś czynności tam wykonywałem. Czasem nie chodziłem i wtedy praca przychodziła do mnie. Odzywała się przez światło w lodówce, w skrajnych przypadkach przez brak światła, ale wtedy najczęściej okazywało się, że nie mam już dokąd wracać i muszę znaleźć nową posadę. Do żadnej nie przywiązywałem się zbyt mocno, to chyba mój naturalny mechanizm obronny, w ten sposób broniłem się przed rozczarowaniem. O Niej starałem się zapomnieć, z całych sił, ale wychodziło z tego coś dziwnego - jakieś takie... czułe zapominanie. Zapominałem ją całymi dniami, przy smarowaniu chleba i szykowaniu kąpiel, bardzo starannie. Całą moją pracę potrafił zniszczyć jeden telefon, czy dzwonek domofonu - te dźwięki zawsze rodziły nadzieję na Nią. Kiedyś powiedziała: Saturn ma nawet balkon z widokiem na inne planety, a ty zamieszkałeś Ziemię! - Od tego momentu wiedziałem, że naszej przyjaźni chciało także przeznaczenie. Później zacząłem powątpiewać.

Może byłoby mi wtedy lżej, gdyby nie to popijanie. Swoją drogą, smutek powodowało nawet to, że mogłem pić jawnie, bo przecież nie miałem nikogo, przed kim powinienem się ukrywać. Mniejsza. Chciałem z tym skończyć, bo nie dawało mi już nic dobrego, ale niełatwo było przestać. Zresztą zawsze źle znosiłem zakończenia, nawet najmniejsze. Pierwsza butelka była dla mnie samego zupełnym zaskoczeniem, kupiłem ją jakby wbrew sobie, a przynajmniej jakiejś części siebie. Przecież od zawsze powtarzałem, że nigdy nie będę pił. Widok pijanych ludzi wywoływał u mnie dwa nieprzyjemne uczucia: obrzydzenie i współczucie. Nienawidziłem tego widoku, zawsze zastanawiałem się wówczas, jak wielu ludzi krzywdzi ten obrazek i byłem całym sobą zły na osobę pijaną. Chwilę później przychodziły do mnie myśli, że może ten człowiek nie krzywdzi nikogo, bo nie ma nawet takiej możliwości i chcąc ulżyć sobie, krzywdzi tylko siebie samego. Wtedy rodziło się we mnie ogromne współczucie. Niestety zawsze było to współczucie zimne, bo podzieliłem sobie kiedyś współczucie na dwa rodzaje: ciepłe i zimne. Ciepłe to takie, które skłania do przeciwdziałania temu współczuciu, do pomocy, zimne natomiast to to paraliżujące człowieka, to, które nie pozwala mu na żaden manewr, wprowadza go w stan bezsilności, odrętwienia. Kupując pierwszą i w zasadzie każdą kolejną butelkę, współczułem sam sobie. Zimnym współczuciem. Nie znajdowałem się jeszcze na tym słynnym dnie, ale czułem, że właśnie tam zmierzam. I to całkiem szybkim krokiem.

Szybkim, bo już po kilku miesiącach znalazłem się w ośrodku leczenia uzależnień. Ostatniej stacji w drodze na dno, ze względu na tak zwany urwany film nie pamiętam. Znam tę historię na swoje nieszczęście z opowiadań, ale nie chcę przekazywać jej dalej. Po drodze miałem złe towarzystwo, bójki, sytuacje, w których ośmieszyłem sam siebie, zebranie o pieniądze na kupno alkoholu pod kryptonimem "bułka". Zbaczałem czasem z tej złej drogi w drogę jeszcze gorszą - tam zażywałem narkotyki.

No i znalazłem się tam, pośród czterech żółtych ścian, kilkorga ludzi załamanych i kilkanaścioro zadowolonych, że mogą znów przezimować wśród ludzi o podobnych zainteresowaniach. Żaden z trunków (a próbowałem wielu) nie przywrócił mi szczęścia. Leżałem więc całymi dniami na najbardziej niewygodnym łóżku świata, pisałem, ale nie byłem w stanie czytać. Musiałem z siebie wyrzucić ogromne ilości siebie, a ponieważ byłem w nadmiarze, nie mogłem przyjąć niczego innego. Dla jednego tylko tekstu zrobiłem wyjątek.

Nasz ośrodek odwiedzały rodziny pacjentów, ksiądz i listonosz. Ze względu na nudę, w której starałem się nie utonąć, czekałem na każdą z wizyt. Z przybycia rodziny każdego pacjenta cieszyłem się, jakby to moja własna przybyła - w miejscu, w którym czas odmierza się posiłkami, ta radość nie powinna dziwić. Ksiądz lubił czasem zdenerwować, drocząc się z nim pytaniami o sens jego słów, który dla mnie nie istniał. Listonosz z kolei to jedyna osoba, która mogła przyjść z mojego powodu. Nie liczyłem na list od bliskiej osoby, ale może, a nuż jakaś instytucja chciałaby przypomnieć mi mandatem, dlaczego znalazłem się w tym miejscu. I rzeczywiście jednego dnia listonosz przybył w mojej sprawie. Kiedy zorientowałem się, że list został napisany ręcznie, że nie jest to pismo urzędowe, ale prywatny liścik, liścisko (!), zamarłem na chwilę.

Największa z radości mojego życia! Ten zwrot wywołał najszczerszy od kilku miesięcy uśmiech na mojej twarzy. Zdażyłem przeczytać jeszcze urywek zdania ze środka listu: *ale nie mogę zostawić Ciebie samego*, nim rozległo się pukanie, a w drzwiach z siatką owoców i moimi ulubionymi rogalikami stanęła Ona... Uczuć i myśli związanych z Jej pojawieniem nie da się opisać przy pomocy słów. Słów, dźwięków, kolorów ani ruchów.

Odwiedzała mnie każdego dnia i z każdą rozmową przypominała radość sprzed czterech lat. W końcu odzyskałem Ją w całości. Nadal istniały problemy, ale dużo łatwiej było się z nimi mierzyć, mając tę radość posiadania. Jak się okazało, musiała wtedy odejść, ale (co nie zdziwiło mnie wcale) co dzień podlewała myśli o mnie w specjalnie do tego kupionej doniczce. Zresztą mam wrażenie, ba! ja śmiem z dużą dozą prawdopodobieństwa podejrzewać Jej dobroduszość o to, że kiedy odejściem swoim zrobiła we mnie jakąś dziurę, to krok za krokiem podążała za mną, zbierając wszystko, co ulatuje ze mnie, by potem, gdy wróci, móc uzupełnić wszystkie niedobory. Naprawiła więc mnie i naprawiła świat, w którym żyłem.

-Zwątpiłeś kiedyś w to, że wrócę? - zapytała któregoś razu.

-Nigdy, bo od zawsze bałem się o Ciebie, a **jeśli istniał strach o jakąś osobę, to ona w jakimś stopniu zostanie, choćby wydawało się, że odeszła**. Poza tym, wszystkim zdarzają się gorsze momenty i ja czekałem na kryzys, bo jak wiadomo "prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie".